

red, M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

15

— Tak, przez prosty przypadek. Oczywiście zdjęłam go zaraz przez ostrożność. Potem myślałam nad tem i to tak szczególnie, że w końcu mogłam odgadnąć myśli pewnej osobistości. Czy opowiedzieć to panu?

Frobisher skłonił się głęboko, podczas gdy Lefroy niespokojnie kręcił się na krześle.

— Widzi pan — zaczęła z pewnością siebie — przyrównałam całą tę sprawę do złośliwej gry czarodzieja, który komuś z towarzystwa daje kartę, którą chce wykonać swój kawał. Przypuśćmy, że pan jest owym czarodziejem, ja medyum, a karta — ten, w tym wypadku gorąco przez pana pożądaną błękitny kamień. Czarodziej wie, że tenże znajduje się w rękach starca, który czasami pozwala swej młodej, pięknej żonie stroić się w klejnoty, będące u niego w przechowaniu. Odbywa się wielki bal maskowy, na który i medyum jest zaproszone, a czarodziej namawia je, by ustroiła się w rubiny, mądrze przewidując, że zdobędzie u męża także i kamień błękitny, który przecież też jest rubinem. Reszta robi się już sama przez się.

— Cudownie! — rzekł Frobisher. — Że też pani tak szybko wykryła czarodzieja! Ale — chociaż mu pani chciała popsuć grę, musi kartę otrzymać. Czy mnie pani rozumie?

— Oczywiście! — odparła wesoło. — Czarodziej nie daje się zbić z tropu, chociaż medyum jest dlań za mądre.

— Chciałbym błękitny kamień pożyczyć — rzekł znowu Frobisher prawie groźnie.

— O tem pomówimy później. Tymczasem zabawmy jeszcze chwilę przy czarodzieju. Jeśli mu tak bardzo na kamieniu zależało, to rzecz prosta, że będzie usiłował dostać go nawet siłą. Liczy na to, że medyum nie odważy się jego oskarżyć, bo nikt nie uwierzyłby temu. Jakżeż mógłby gospodarz pod swoim własnym dachem obrabowywać gościa — to rzecz nie do uwierzenia! Medyum musi nadto mieć wzgląd na swego starego męża, którego kwestya ta mogłaby zaprowadzić do więzienia. Naprawdę, moi panowie, myśli te denerwują mnie mocno. Wyobrażam sobie, że moglibyście panowie napaść na mnie i wyrwać mi ów przedmiot, którego byłabym z pewnością nie dotknęła nawet, gdybym była znała jego historję. To bardzo nie mądrze z mej strony...

— Nie słusznie łaskawa pani tak mówi — przerwał Frobisher powstając. — Spotkałem w życiu wielu mądrych ludzi, ale pani jest najmądrzejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Podziwu godnym jest spryt pani, jak niemniej i odwaga.

Pani Bernsteinowa powstała również — nadszedł moment krytyczny, ale nie okazała strachu żadnego.

— Pan uważa, że ostrożność jest lepszą częścią waleczności — rzekła drwiąco. — Angliści nigdy nie chcą wiedzieć, kiedy są pobici. Ja jednak sądzę, że pobity nieprzyjaciół bywa często niebezpieczniejszy. Czy pan rzeczywiście tak bardzo pragnie posiadać błękitny kamień, sir Clemensie?

— Rozumie się. Muszę go mieć.

— Muszę, to nieładne wyrażenie.

— O to teraz nie chodzi — wmieszał się Lefroy poraz pierwszy w rozmowę. — POCO to bezcelowe gadanie? Czy zechce nam pani pożyczyć owego kamienia na krótki czas?

— Niech mi pan najpierw odpowie na jedno pytanie. Jeżeli go nie dam, czy użyje pan siły?

Frobisher skinął nieświadomie głową i coś mruknął, przyczem zabłysły mu złote zęby. Z oczu padł błysk chciwości i odruchowo przybliżył się do niej.

— Jeszcze słowo! — wstrzymała go podniesionym głosem. — Przypuśćmy, że medyum chce zepsuć grę czarodziejowi i oświadcza, że kartę zmieniło. Cóż będzie?

Ciche przekleństwo wymknęło się z ust milionera; wystąpiła nagle cała dzikość jego natury — dyszał wprost niepohamowaną złością. W tej chwili, gorzkiego zawodu opanowały go mordercze myśli.

— Czy pani... chce... przez to... powiedzieć — syknął urywanemi słowami przez zęby.

— Że karta zniknęła i że czarodziej został wyprowadzony w pole — odparła tryumfująco. — Czyż wyglądam na to, że bym mogła być pilką w rękę mężczyzny? Jeśli pan kartę znajdzie, dobrze; jeśli nie, to pan jest pokonany. Kamień nie jest już w mojem posiadaniu!

Frobisher patrzył na nią bez ruchu — wiedział, że mówiła prawdę.

Lefroy zerwał się z krzesła.

— To niemożliwe! — wybuchnął. — Niech pan nie da sobie tego wmówić, panie Frobisher.

Frobisher opanował się tymczasem.

— Czemu się pan niepotrzebnie unosi, mój przyjacielu? — rzekł, kryjąc złośliwość swą pod wyrozumiałym uśmiechem. — Czy pan zapomniiał całkowicie odróżniać prawdę od kłamstwa? Ja wierzę, że każde słowo pani Bernsteinowej jest prawdą. Nadaremnie trudziliśmy się, kochany hrabio — spryt kobiecy zwyciężył nas.

— Komu mogła oddać kamień? — mamrotał Lefroy.

— O to właśnie idzie — odparł Frobisher. — Przecież ona tu nikogo nie zna.

— Muszę panią podziwiać, łaskawa pani — zwrócił się do pani Izy, która znów swobodnie zajęła swe miejsce. — Pani gruntownie zakpiła sobie ze mnie, a to nie zdarzyło mi się od czasów szkolnych. Hrabio, myślę, że pan może odejść — nic tu niema do zyskania. Zresztą...

— Zresztą — dokończyła pani Iza — książę jest w takiej samej sytuacji, co i przedtem. Ktokolwiek w tej chwili klejnot posiada — w każdym razie nie książę.

Wściekły z irytacji oddalił się Lefroy, zatrzasnawszy drzwiami za sobą.

Frobisher zapalił papierosa.

— Dzisiejszy wieczór musi być dla pani szczególnie miłym, łaskawa pani — odezwał się tak swobodnie, jak gdyby nic nie zaszło między nimi.

— Był to wieczór najmiłszy, jaki pamiętam — przyznała otwarcie. — Po pierwsze wywołałam duże wrażenie, co już jest dla kobiety przedsmakiem raju, a potem stałam się główną sprężyną zajmującej intrygi. Przepadam za intrygami i tajemnicami. W tym wypadku miałam być maryonatką, pilką w rękę drugich — ale wszystkich pokonałam. O, ten wieczór nie prędko zapomnę!

— Wierzę mocno — przytaknął Frobisher złośliwie. — Gdybym był naprzód wszystko wiedział, byłbym pani pożyczył najpiękniejszy z moich rubinów, a błękitny kamień byłby wypadł z gry. Czemuż pani nie wciągnęłam do tej sprawy jako współpracownika?

— To byłoby się nie udało — odparła pani Iza zimno — gdyż byłabym panu nigdy nie do wierzała.

Frobisher roześmiał się. Podobala mu się ta szczerość.

— Nie biorę pani tego za złe — rzekł. — Dla silnego wroga mam szacunek. Bądź co bądź chętnie byłbym pani pożyczył mój wielki rubin. Mam nadzieję, że pani zechce przyjąć odemnie jakiś drobiazg na pamiątkę dzisiejszego wieczoru. Jeśli pani pozwoli, przyniosę kilka z moich rubinów i będę się cieszył, mogąc najpiękniejszy z nich pani ofiarować. Tymczasem niech pani podziwiał moje orchidee. Przecież nie uprowadzi pani mej szkarłatnej orchidei? — dodał żartobliwie.

— Czy mogę ją dokładniej obejrzyć? — zapytała powstając.

Usłużnie puścił Frobisher w ruch jeden z automatów, wskutek czego rusztowanie, na którym orchidea była rozpięta, opuściło się niżej.

Pani Iza pieszczotliwie dotknęła kwiatów, które otoczyły wieńcem jej głowę i ramiona.

— Co za obraz dla malarza — rzekł Frobisher z podziwem. — Zaraz powrócę, łaskawa pani!

Wyszedł, podczas gdy pani Iza stała jak czarowana w pośrodku cudownych kwiatów.

— Rozumiem, że sir Clemens nie chce się z nią rozłączyć — pomyślała. — Liczne jej odnogi i gałęzie wyglądają jak połyskliwe węże, nie brak nawet syku.

I rzeczywiście: syk głośny pary wodnej, wydobywającej się z kotła, przesłonił mgłą całe rusztowanie. Roślina zdawała się nabierać życia i nagle pani Iza uczuła silne, jakby kleszczami, ściśnięcie ramienia. Kleszcze coraz mocniej się zaciskały, ból stawał się nie do wytrzymania, a przecież nie było widać żadnej zbrodniczej

ręki, ani żadnego narzędzia. Stała jakby ubezwładniona, ale wnet wyrwała ją z tego otumanienia myśl o podaniu straszliwym, jakie się łączyło z szkarłatną orchideą. Z całej siły starała się ramię wyciągnąć, lecz nadaremnie. Już zmysły poczęła tracić, kiedy spostrzegła jakąś zamgloną postać stojącą w turbanie; rusztowanie wzniosło się w górę, a ramię jej zostało gwałtownie wyrwane z kleszczy. Jakiś męski, przyciszony głos szepnął:

— Mam nadzieję, że nie zbyt silnie pani została skaleczona! To było okropne!

XIII.

Kiedy pani Iza jako tako przyszła do siebie po doznanym przestraszeniu, spostrzegła stojącego obok niej adjułanta księcia, narzeczonego Angeli.

— Co to było? — zapytała słabym głosem.

— Jeszcze teraz nie mogę pani tego wytłumaczyć — odrzekł wymijająco. — Odkrycie to mnie samego pozbawiło myśli i spokoju. Jak się pani dostała w takie położenie?

— Podziwiałam kwiaty i abym je dokładniej obejrzyć mogła, sir Frobisher na skutek mej prośby opuścił ku dołowi rusztowanie i wyszedł, aby mi coś przynieść, zaraz potem coś ścisnęło mi bardzo mocno ramię.

— Jakby jakiś niewidzialna ręka, prawda? — zapytał Harold skwapliwie. — Szczęście, że przypadkiem poruszyłem sprężynę i wskutek tego rozluźniła się siatka tak, że mogłem panią uwolnić! Szczególna historia! — dodał, wstrząsając głową. — Sir Frobisher byłby zresztą wcale do pani nie wrócił, widziałem go przed chwilą, jak wychodził z domu z kimś obcym. Ale panią musi bardzo boleć ręka?

Pani Iza odsunęła rękaw i pokazała Haroldowi ramię, na którym widać było pas krwawy, a pod nim rozdarta skórę.

— Czy mogłaby pani zająć to zachować w tajemnicy czas jakiś? To bardzo ważne, gdyż mielibyśmy niemal pewność, że oddamy pod szubienicę największego łotra pod słońcem.

— Będę milczała, tylko copędzej chciałabym się udać do lekarza.

— Oczywiście. Ból musi być nieznośny. Na szczęście wśród gości znajduje się doktor Brown, zawołam go tu niepostrzeżenie.

Po paru minutach zjawił się sławny chirurg, któremu Denvers udzielił w krótkich słowach potrzebnych wyjaśnień.

Lekarz zbadał ramię pani Izy z drobiazgową dokładnością.

— Nic nie złamane — rzekł — tylko mocny ucisk, ale niepojęta rzecz, czem. Ludzka ręka nie mogłaby tak mocno ścisnąć. Czy pani widziała napastnika?

Iza zaprzeczyła.

— To ciekawe! Są to takie same znaki, takie same pręgi, jakby od twardego sznura, jakie widziałem u nieszczęśliwego pana Manfreda. Co to może być?

— Coś potwornego, panie doktorze! Ale proszę bardzo o przypadku tym nic nikomu nie wspominać.

Doktor przystał na to.

— Radziłbym pani bezzwłocznie udać się do domu — zwrócił się do pani Izy — i przykładac zimne okłady. Jakże się pani jednak pożegna z gospodynią domu, aby się przed nią z niczem nie zdradzić, skoro pani ma odkryte ramiona.

Pani Iza rozwiązała tę kwestję w sposób jej charakterystyczny, zdzierając z ramion lekkie materiały i przesłaniając nim skaleczone miejsce.

Uczyniwszy to, kazała poprosić do siebie lady Frobisher i wytłumaczywszy się przed nią, że z powodu rozdarcia sukni zmuszona jest opuścić zabawę, wyszła do powozu w towarzystwie Denversa.

— Postaram się wywdzieńczyć panu — rzekła, ściskając dłoń Harolda. — Proszę powiedzieć pannie Lynn, żeby zechciała mnie jutro rano odwiedzić i żeby przyniosła niebieskie orchidee. No więc jakże, czy rozwiązał pan tę si aszliwą zagadkę szkarłatnej orchidei?

— Sądzę, że tak — odparł poważnie Denvers. — Ale o, idzie sir Clemens ze swoim najnowszym sprzymierzeńcem, Hamidem.

Pani Bernsteinowa skinęła głową. Tego się spodziewała.

— Panie Denvers i ja zrobiłam odkrycie. Proszę, niech pan przyjdzie jutro o jedenastej do mnie; dowie się pan czegoś przyjemnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).